

ELEKTRYCZNY KAT



Dla kogoś, kto nigdy nie był świadkiem egzekucji przeprowadzonej w majestacie prawa, mam do opowiedzenia raczej dziwaczną, a zarazem przerażającą historię o elektrycznym kacie. W istocie sądzę, że bardziej mną to wstrząsnęło, niż mogłoby większością ludzi, którzy w ciągu swego życia stawali przed sądem. Powodem tego jest coś, czego byłem świadkiem czterdzieści lat temu - bardzo dziwne wydarzenie, które doprowadziło mnie na brzeg nieznanych i czarnych otchłani.

W 1899 roku byłem rewidentem i kontrolerem zatrudnionym w Tlaxcala Mining Company w San Francisco, działającym w małych kopalniach srebra i miedzi w górach San Mateo w Meksyku. Mieliśmy wtedy jakieś kłopoty w kopalni numer 3, która miała gburowatego i podstępnego asystenta superintendenta, nazwiskiem Artur Feldon. Szóstego sierpnia firma otrzymała telegram mówiący, że Feldon dał drapaka zabierając ze sobą wszystkie księgi rachunkowe, poręczenia i papiery prywatne pozostawiając administrację i finanse w stanie zupełnego chaosu.

Wydarzenie to było dotkliwym ciosem dla przedsiębiorstwa. Późnym popołudniem prezes McComb wezwał mnie do swego biura i polecił mi za wszelką cenę odzyskać dokumenty. Wiedział, że będą trudności. Nigdy nie widziałem Feldona, a do dyspozycji były tylko bardzo niewyraźne fotografie. Co więcej, moje wesele miało się odbyć w czwartek w następnym tygodniu, a więc już za dziewięć dni. Nie miałem więc zbytnej ochoty spieszyć do Meksyku i ścigać kogoś na Bóg wie jak wielkich odległościach. Potrzeba jednak była tak wielka, że McComb uważał, że ma prawo żądać mego natychmiastowego wyjazdu, a ja ze swej strony sądziłem, że w przypadku odniesienia sukcesu, moja pozycja w firmie niepomniernie wzrośnie.

Miałem wyjechać w nocy, prywatnym wagonem prezesa do Mexico City, skąd miałem pojechać kolejką wąskotorową do kopalni. Jackson, kierownik kopalni numer 3 powinien mnie wtajemniczyć we wszystkie szczegóły i udostępnić mi wszelkie możliwe ślady natychmiast po moim przyjeździe, potem zaś miałem rozpocząć niezwłocznie poszukiwania - przez góry, wzdłuż wybrzeża, na bocznych uliczkach Mexico City - zależnie od tego, jak rozwinie się sytuacja. Wyjechałem z ponurą determinacją doprowadzenia sprawy do końca i ze skutkiem tak szybko, jak to było możliwe i kołem niezadowolone wyobrażeniami wczesnego powrotu, z papierami i winowajcą, i myślami o weselu, które powinno się stać triumfalną ceremonią.

Zawiadomiwszy rodzinę, narzeczoną i najbliższych przyjaciół poczyniłem pospieszne przygotowania do podróży. Spotkałem się z prezesem McCombem o ósmej wieczorem na stacji Southern Pacific, otrzymałem od niego pewne pisemne instrukcje i książeczkę czekową, po czym odjechałem jego wagonem, doczepionym do pociągu transkontynentalnego. Podróż minęła bez przygód i po dobrze przespanej nocy rozkoszowałem się przyjemnością jazdy tak rozważnie mi użyczonym prywatnym wagonem. Przeczytałem z uwagą instrukcje i sformułowałem plany pochwylenia Feldona i odzyskania dokumentów. Dość dobrze znałem okolice Tlaxcali - prawdopodobnie lepiej niż uciekinier - miałem więc już pewną przewagę w moich poszukiwaniach, gdyby on już wcześniej nie odjechał pociągiem.

Według instrukcji, Feldon był przedmiotem zmartwienia kierownika Jacksona już od pewnego czasu, działając w tajemnicy i pracując bez uzasadnienia w laboratorium kopalnianym w dziwnych godzinach. Podejrzewano go o współpracę z dowódcami meksykańskimi i niektórymi peonami w kradzieży rudy, lecz tubylców uwolniono od zarzutów, nie było bowiem wystarczających dowodów, aby można było odnieść jakieś sukcesy w tak delikatnej sprawie. Mimo tajemniczości, było w tym w istocie więcej nieposłuszeństwa niż winy. Był kłótlivy i mówił tak, jakby to firma go oszukiwała, a nie on firmę. Otwarta inwigilacja przez jego kolegów, jak pisał Jackson, wydawała się coraz bardziej go irytować, a teraz zniknął ze wszystkim, co było ważne dla zakładu. O tym gdzie może być, nikt nie miał najmniejszego pojęcia, choć ostatni telegram Jacksona sugerował, że są to dzikie stoki Sierra de Malinche, gdyż ten wysoki, okryty mitami szczyt o sylwetce trupa był rejonem, z którego pochodzili okoliczni, tubylczy złodzieje. W El Paso, do którego dotarliśmy o drugiej, w noc poprzedzającą nasze wyruszenie w pogoń, mój wagon został odłączony od pociągu międzykontynentalnego i przyłączony do specjalnej lokomotywy, którą telegraficznie wysłano na południe, do Mexico City. Drzemałem do świtu i przez cały następny dzień nudziłem się na płaskiej, pustynnej równinie Chilhuahua. Obsługa powiedziała mi, że będziemy w Mexico City w południe w piątek, lecz wkrótce zobaczyłem, że istnieją niezliczone przeszkody, pochłaniające cenne godziny. Były oczekiwania na bocznicach wszystkich stacji jednotorowej linii, to przegrzewały się skrzynki smarownicze osi, czy inne trudności komplikowały rozkład jazdy.

W Torreon byliśmy o sześć godzin później i była już prawie ósma rano w piątek - pełne dwanaście godzin później niż przewidywał to rozkład jazdy - gdy maszynista otrzymał w końcu zgodę na przyspieszenie podróży, aby spróbować nadrobić opóźnienie. Moje nerwy były na granicy wytrzymałości i nie mogłem uczynić nic innego, niż chodzić w desperacji po przedziale tam i z powrotem. W istocie przekonałem się, że przyspieszenie to zostało okupione wysokim kosztem, gdyż po trzydziestu minutach poczęły się mnożyć objawy przegrzania smarownic również w moim wagonie. Po nerwowym oczekiwaniu zdecydowano, że jedynym wyjściem jest powleczenie się z jedną czwartą szybkości do następnej stacji ze sklepami - handlowej faktorii Queretaro. To była ostatnia kropla, która przelała kielich goryczy i prawie tupiałem z wściekłości jak dziecko. Czasami wydawało mi się, że kołyszę się w mym fotelu na biegunach, aby przyspieszyć bieg pociągu z jego wężowego pełźnięcia.

Była prawie dziesiąta wieczorem, gdy przyjechaliśmy do Queretaro, gdzie spędziłem pełną niepokoju godzinę na peronie, podczas gdy mój wagon został odstawiony na bocznicę i majstrowało przy nim ze dwudziestu tubylczych mechaników. W końcu powiedzieli mi, że zadanie przerasta ich możliwości, gdyż dalsza jazda wymaga nowych części, które najbliżej dostać można w Mexico City. Naprawdę, wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Zaciśnąłem zęby, gdy pomyślałem o oddalającym się coraz bardziej Feldonie - może dotarł już do Vera Cruz z jego liniami żeglugowymi, albo do Mexico City, z możliwością wyjazdu stamtąd koleją w różnych kierunkach - podczas gdy ciągle nowe przeszkody trzymały mnie tu uwiązane i bezsilnego. Oczywiście Jackson powiadomił policję we wszystkich okolicznych miastach, lecz znając jej możliwości, nie potrafiłem powstrzymać smutku.

Najlepsze, co mogłem zrobić, to złapać regularny nocny ekspres do Mexico City, który jechał z Aguas Calientes i zatrzymywał się na pięć minut w Queretaro. Tutaj powinien być o pierwszej, jeśli nie miał opóźnienia, a w Mexico City o piątej w sobotę. Gdy kupowałem bilet, dowiedziałem się, że pociąg posiada wagony typu europejskiego, z zamykanymi przedziałami, nie zaś amerykańskiego, z długimi przedziałami z rzędami dwumiejscowych siedzeń. Były używane we wczesnym okresie meksykańskiego kolejnictwa, gdyż pierwszymi liniami interesowali się Europejczycy, a w 1889 roku Mexican Central nadal używał ich znaczną ilość na krótszych trasach. Zwykle preferowałem amerykańskie wagony, gdyż nie lubiłem ludzi patrzących na mnie, lecz tym razem byłem zadowolony z cudzoziemskiego wagonu. Miałem szczęście mieć cały przedział dla siebie, a zmęczony i spięty, mile powitałem samotność, jak i zajmujące całą szerokość wagonu wygodne, tapicerowane siedzenie z miękkimi podpórkami dla rąk i zagłówkiem. Kupiłem bilet pierwszej klasy, mój bagaż przyniesiono z odstawionego na bocznicę prywatnego wagonu, zatelegrafowałem do prezesa McComba i do Jacksona powiadamiając obu co się stało i usiadłem, aby poczekać na nocny ekspres tak cierpliwie, jak tylko pozwalały mi na to moje napięte nerwy.

O dziwo, pociąg miał tylko pół godziny spóźnienia, ale nawet i w tym przypadku samotne oczekiwanie na stacji było prawie ponad moją wytrzymałość. Konduktor, wskazując mi przedział, powiedział, abym zrekompensował sobie opóźnienie i jednocześnie skorzystał z wygod, wyciągnąłem więc wygodnie nogi na przeciwległym siedzeniu w oczekiwaniu na cichą, trzy i półgodzinną podróż. Światło z olejowej lampki nad głową było kojąco przyciemnione i zastanawiałem się, czy uda mi się trochę przespać mimo mego niepokoju i napięcia. Gdy pociąg ruszał, wydawało mi się, że jestem sam w całym pociągu i byłem naprawdę z tego rad. Począłem znowu rozmyślać o mym poszukiwaniu i kiwałem się w takt kołysania wagonu wciąż przyspieszającego pociągu.

Nagle uświadomiłem sobie, że nie jestem sam. W rogu naprzeciw mnie, wciśnięty tak, że nie widać było jego twarzy, siedział prosto odziany mężczyzna niezwykłego wzrostu, którego nie pozwoliło mi wcześniej zauważyć słabe światło. Obok niego, na siedzeniu, stała potężna waliza, zniszczona i wypchana, mocno ścisłana nawet w czasie snu przez jego nieproporcjonalnie szczupłą rękę. Gdy lokomotywa ostro zagwizdała na jakimś zakręcie czy rozjeździe, śpiący wzdrygnął się nerwowo, na wpół czujnie się budząc, podniósł głowę ukazując przyjemną twarz, brodatą i wyraźnie anglosaską, o ciemnych, błyszczących oczach. Na mój widok rozbudził się całkowicie, a mnie zastanowiła wrogość i dzikość jego wzroku. Nic dziwnego, pomyślałem sobie, jest urażony moją obecnością, gdyż miał nadzieję, że przez całą podróż będzie miał przedział wyłącznie dla siebie, podobnie jak ja byłem zawiedziony znalezieniem towarzystwa w słabo oświetlonym przedziale. Najlepsze jednak, co mogliśmy zrobić, to z wdziękiem zaakceptować sytuację, więc zacząłem przed nim usprawiedliwiać moje wtargnięcie. Wydawał się być Amerykaninem i obaj powinniśmy doznać ulgi po wymianie kilku grzeczności. Potem powinniśmy się wzajemnie pozostawić w spokoju przez resztę podróży.

Ku memu zaskoczeniu, obcy nie odpowiedział na moje grzeczności ani słowem. Zamiast tego nadal patrzył na mnie dziko, jakby mnie oceniając. Odtrącił proponowane mu przeze mnie cygaro nerwowym ruchem swej wolnej ręki. Jego druga ręka nadal ścisnęła wielką, zniszczoną walizę, a cała jego osobowość wydawała się promieniować jakąś utajoną złośliwością. Po pewnym czasie odwrócił twarz do okna, choć w gęstej ciemności za oknem nie było widać niczego. Co dziwniejsze jednak, wydawało się, że patrzy na coś tak intensywnie, jakby w istocie cokolwiek tam widział. Postanowiłem pozostawić go jego zastanawiającym zajęciom i rozmyślaniom niepokojąc go więcej. Usiadłem wygodnie na swym siedzeniu, opuściłem nisko rondo mego miękkiego kapelusza na twarz i zamknąłem oczy w nadziei przespania się, na co tak liczyłem.

Nie spałem ani długo, ani mocno. W pewnej chwili moje oczy otworzyły się, jakby pod działaniem jakiejś zewnętrznej siły. Zamknąwszy je z pewną determinacją znowu usiłowałem się zdrzemnąć, lecz zupełnie bezskutecznie. Wydawało się, że jakaś rzeczywista siła utrzymuje mnie w stanie czuwania, podniosłem więc głowę i rozejrzałem się po słabo oświetlonym przedziale, aby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Wydawało się, że wszystko jest jak zwykle, lecz zauważyłem, że obcy w przeciwległym rogu przygląda mi się intensywnie - uporczywie, lecz nie łagodnie czy przyjaźnie, co oznaczałoby zmianę w jego uprzednim, gburowatym stosunku do mnie. Tym razem nie podejmowałem próby rozmowy, lecz wróciłem do mej uprzedniej, śpiącej postawy, na wpół zamykając oczy, jakbym ponownie zasypiał. Nadal jednak przyglądałem mu się z ciekawością spod mego nisko nasuniętego ronda kapelusza.

Gdy pociąg mknął przez noc, zauważyłem, że w wyrazie twarzy patrzącego na mnie mężczyzny następuje subtelna, lecz stopniowa zmiana. Zadowolony najwidoczniej z tego, że zasnąłem, pozwolił, aby na jego twarzy odbijała się gmatwanina emocji, natury których nie można było być pewnym. Nienawiść, strach, triumf i fanatyzm migotały w złożony sposób na linii jego warg i w kącikach oczu, podczas gdy wzrok wyrażał naprawdę niepokojący stopień chciwości i okrucieństwa. Zaświtało mi nagle, że ten człowiek jest szalony, a tym samym niebezpieczny.

Nie przeczę, że byłem głęboko przestraszony, gdy zobaczyłem, jak się przedstawia sytuacja. Obląłem się cały zimnym potem i z trudem tylko utrzymywałem wygląd rozluźnionego i drzemającego. Życie miało dla mnie naprawdę zbyt wiele uroków, a myśl o tym, że mam do czynienia z maniackalnym mordercą - prawdopodobnie uzbrojonym i z pewnością wyjątkowo silnym - była przerażająca. Każdy rodzaj ewentualnej walki musiałby wypaść na moją niekorzyść, gdyż facet był naprawdę olbrzymem, w najlepszej atletycznej kondycji, podczas gdy ja byłem zawsze raczej kruchy, a teraz jeszcze zmęczony strachem, bezsennością i napięciem nerwowym. Była to dla mnie chwila niezaprzeczalnie ciężka i czułem zupełnie blisko straszną śmierć, gdy dostrzegłem w oczach obcego furię szaleństwa. Dotarły do mojej świadomości wydarzenia z przeszłości - jakby na pożegnanie - jak tonącemu w ostatniej chwili staje przed oczami całe życie.

Oczywiście miałem rewolwer w kieszeni płaszcza, lecz każdy ruch z mej strony, aby po niego sięgnąć i wyciągnąć go, byłby zbyt oczywisty. Co więcej, gdybym to zrobił, reakcja szaleńca nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Nawet gdybym do niego strzelił raz czy dwa, mogłaby mu pozostać jeszcze wystarczająca ilość siły, aby odebrać mi pistolet i wykończyć mnie, lub jeśli sam jest uzbrojony, może strzelić lub zasztyletować mnie, nie usiłując nawet mnie rozbroić. Ktoś może zastraszyć zdrowego na umyśle człowieka grożąc mu pistoletem, ale całkowita nieprzewidywalność reakcji szaleńca daje mu siłę i niebezpieczeństwo prawie nadludzkie. Nawet w epoce przed Freudem podzielałem ogólne przekonanie o niebezpiecznej sile osoby pozbawionej normalnych hamulców. To, że obcy w rogu przygotowuje się do podjęcia jakiejś morderczej akcji nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, sądząc po jego płonących oczach i skręcających się mięśniach twarzy.

Nagle usłyszałem, że jego oddech przeszedł w krótkie, urywane sapanie i zobaczyłem, że jego pierś unosi się we wzrastającym podnieceniu. Chwila odkrycia kart była bliska i usiłowałem desperacko wymyślić, co mogę w tej sytuacji zrobić. Udając, że nadal śpię, zacząłem przesuwając rękę stopniowo, jakby nieświadomie w kierunku kieszeni, w której był mój pistolet, przyglądając się uważnie szaleńcowi, aby zorientować się, czy zauważył mój ruch. Na nieszczęście zauważył - prawie na ułamek sekundy przed tym, gdy fakt ten odbił się na jego twarzy. Ruchem tak zwinny i nagły, że wprost niewiarygodnym u człowieka jego wzrostu, znalazł się nagle tuż nade mną, zanim zdążyłem się zorientować, co się stało. Wynurzył się nade mną i kołysząc się w przód i w tył jak olbrzymi ogr z legend, przyszpilił mnie jedną potężną ręką, a drugą uniemożliwił sięgnięcie po rewolwer. Wyjął go z mej kieszeni i włożył do swojej, po czym uwolnił mnie z pogardą, doskonale wiedząc o swej przewadze fizycznej. Następnie wyprostował się na całą wysokość - głową prawie dotykając sufitu przedziału - i spojrzał na mnie wzrokiem, którego wściekłość szybko zmieniła się w wyraz współczucia i jakiejś diabelskiej kalkulacji.

Nie ruszałem się i po chwili mężczyzna zajął swe miejsce na przeciw mnie, uśmiechając się widmowym uśmiechem, gdy otworzył swą wielką, wypchaną walizę i wyciągnął z niej jakiś przedmiot o szczególnym wyglądzie. Była to duża skrzynka półgłębokich drutów, splecionych w taki sposób, jak maska łapacza w baseballu, lecz przypominająca bardziej hełm nurka. Jego szczyt połączony był kablem, którego drugi koniec pozostawał w walizce. Z urzędzeniem tym obchodził się z widocznym uczuciem, tuląc je na kolanach. Ponownie począł mi się przyglądać i oblizywać wargi prawie kocim ruchem języka. Nagle, po raz pierwszy odezwał się - głębokim, dojrzałym głosem, którego miękkość i kultura wydawały się wstrząsająco przeczyć jego prostemu, sztruksowemu ubraniu i zaniedbanemu wyglądowi.

- Ma pan szczęście. Powinienem najpierw pana użyć. Przeszedłby pan do historii jako pierwszy owoc znaczącego pomysłu. Ogromne konsekwencje socjologiczne - powinienem rzucić lekkie światło. Promieniuję przez cały czas, lecz nikt o tym nie wie. Teraz ty się dowiesz. Inteligentna świnka morska. Koty i osiołki - to działa nawet na osiołka...

Przerwał, a jego owłosione rysy twarzy poczęły się poruszać konwulsyjnie, zsynchronizowane ściśle z szybkim, wirowym ruchem całej głowy. Wyglądało to tak, jakby chciał się otrząsnąć z jakiejś mgły. Gesty te zastąpione zostały usiłowaniami złagodzenia rysów twarzy, jakby chciał ukryć coraz bardziej oczywiste szaleństwo pod pozorami łagodności, przez którą przebłyskiwała jednak chytrość. Natychmiast dostrzegłem tę różnicę i powiedziałem, aby przekonać się, czy mogę poprowadzić jego umysł w bezpieczniejszym kierunku: - Wydaje się, że masz cudowny instrument, jeśli w ogóle mogę coś o tym powiedzieć. Możesz mi opowiedzieć jak na to wpadłeś?

Skinął głową.

- To tylko logiczna refleksja, drogi panie. Dostrzegłem konieczność chwili i pracowałem nad tym. Inni mogliby dokonać tego samego, gdyby mieli umysł tak potężny - to znaczy zdolny do nieustannej koncentracji - jak ja. Miałem przekonanie - konieczną siłę woli - to wszystko. Przekonałem się, jak nikt inny dotąd, jak konieczne jest usunięcie z ziemi wszystkich przed powrotem Quetzalcoatl i stwierdziłem też, że należy tego dokonać w sposób elegancki. Nienawidziłem rzezi wszelkiego rodzaju, a wieszanie jest barbarzyńsko prostackie. Wiesz, że w ubiegłym roku rada miejska Albany głosowała za przyjęciem krzesła elektrycznego jako narzędzia egzekucji skazanych, ale cały ten aparat, o którym myśleli, jest tak prymitywny jak rakieta Stephensona, czy pierwszy silnik elektryczny Davenporta. Znałem lepszy sposób i powiedziałem im o nim, lecz nie zwracali na mnie uwagi. Boże, co za głupcy! Jakbym nie wiedział wszystkiego o ludziach, śmierci i elektryczności - student, mężczyzna i chłopiec - technolog i inżynier - żołnierz szczęścia...

Odchylił się do tyłu, jego oczy zwęziły się.

- Ponad dwadzieścia lat temu służyłem w armii Maksymiliana I. Chcieli mi nadać tytuł szlachecki. Potem ci przekłęci powstańcy zabili go i wróciłem do domu. Wróciłem i tułałem się. Mieszkałem w Rochester, Nowym Jorku...

Jego oczy stały się jeszcze bardziej chytre, pochylił się do przodu i dotknął mego kolana palcami swej paradoksalnie szczupłej ręki.

- Wróciłem, jak już powiedziałem, ale wszedłem w to głębiej niż którykolwiek z nich. Nienawidziłem powstańców, lecz lubiłem Meksykanów. Zagadka? Posłuchaj mnie, młody człowieku - nie myśl, że Meksyk jest naprawdę hiszpański. Boże, gdybyś znał szczepy, które ja znam! W górach - Anahuac - Tenochtitlan - starzy...

Zaczął śpiewać i melodyjnie wyć.

- Ia! Huitzilopotchli!... Nahuatlcatl! Siedem, siedem, siedem... Xochimilca, Chalca, Tepaneca, Acolhua, Tlahuica, Tlascalteca! Azteca!... Ia! Ia! Byłem w Siedmiu Jaskiniach Chicomoztoca, lecz nikt nie powinien o tym wiedzieć! Mówię ci o tym, gdyż nigdy tego nie powtórzysz...

Przestał i podsumował zwykłym tonem.

- Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, o czym mówi się w górach. Huitzilopotchli wraca... to nie ulega wątpliwości. Każdy peon na południe od Mexico City może ci to powiedzieć. Lecz nie zamierzałem się tym zajmować. Jak ci już powiedziałem, wróciłem do domu i pracowałem na korzyść społeczeństwa nad moim elektrycznym katem, gdy ta przekłęta rada miejska Albany przyjęła inny sposób. Żart, proszę pana, żart! Krzesło dziadka - siedzącego przy kominku - Hawthorne...

Począł się śmiać w potwornej parodii dobrego humoru.

- Cóż, proszę pana, chciałem być pierwszym człowiekiem, który usiądzie na tym przeklętym krześle i poczuje prąd ich małych baterii! Nie skurczyłyby nawet żabiej łapki! A oni chcieli tym zabijać morderców - nagroda honorowa - wszystko! Nagle jednak, młody człowieku, zobaczyłem bezużyteczność - w istocie szczególną nielogiczność - zabicia tylko kilku. Każdy jest mordercą - mordują idee - kradną pomysły - ukradli mój i pilnują, pilnują, pilnują...

Mężczyzna zakaszłał się i przerwał, a ja powiedziałem uspokajająco:

- Jestem pewien, że pański pomysł jest najlepszy i z pewnością w końcu go zastosują.

Widocznie jednak moja delikatność była zbyt mała, gdyż w jego odpowiedzi zabrzmiała świeża irytacja.

- "Jest pan pewien", tak? Przyjemne, delikatne, zdawkowe zapewnienie. Do diabła z tym - ale wkrótce się przekonasz! Cóż, do diabła, całe dobro jakie mogłoby płynąć z tego krzesła, zostało mi skradzione. Duch Nezahualpilli powiedział mi to na świętej górze. Pilnują, pilnują, pilnują...

Znowu się zakaszłał, a potem ponownie zaczął trząść głową, wyraz twarzy też mu się zmieniał. Wydawało się, że to go uspokaja na pewien czas.

- Czego potrzebuje mój pomysł, to wypróbowania. O, tutaj! Druciany kaptur czy też sieć na głowę jest giętka i łatwo się ją nakłada. Część szyjna wiąże, lecz nie dusi. Elektrody dotykają czoła i podstawy mózdzku - wszystko to jest konieczne. Przytrzymać głowę, czego jeszcze trzeba? Głupcy, tam w Albany, z ich rzeźbionym, dębowym,

wygodnym krzesłem uważają, że to coś wspaniałego. Idioci! - nie wiedzą, że nie trzeba porażać całego ciała, wystarczy tylko mózg! Widziałem ludzi, którzy zginęli w walce - wiem lepiej. A ten ich głupi obieg prądu - dynamo - cały ten kram. Dlaczego nie chcą zobaczyć, czego dokonałem z akumulatorem? Sza - nikt o tym nie wie - sam tylko posiadam tę tajemnicę, sam - ja i oni, jeśli im pozwolę... Lecz muszę mieć obiekty doświadczalne - obiekty - wiesz kogo wybrałem na pierwszy?

Próbowałem żartować, szybko przechodząc w przyjazną powagę w charakterze środka uspokajającego. Szybka myśl i trafne słowa mogły mnie uratować.

- Cóż, jest mnóstwo doskonałych obiektów wśród polityków w San Francisco, stamtąd pochodzę. Potrzebują twego sposobu, a ja chciałbym pomóc ci go wdrożyć! Naprawdę sądzę, że będę mógł ci pomóc. Posiadam pewne wpływy w Sacramento i jeśli chciałbyś wrócić ze mną do Stanów po tym, gdy załatwię swoje sprawy w Meksyku, zobaczysz, że cię wysłuchają.

Odpowiedział spokojnie i grzecznie:

- Nie, nie mogę wrócić. Przrzekłem sobie to, gdy ci przestępcy z Albany odrzucili mój pomysł i wysłali szpiegów, aby mnie pilnowali i ukradli mi go. Ale muszę mieć jako obiekt Amerykanina. Ci powstańcy są pod klątwą, to byłoby zbyt łatwe, a pełnej krwi Indianie - prawdziwe dzieci Opierzonego Węża - są święci i nietykalni, chyba tylko jako poświęcone ofiary... a i te muszą być zabijane zgodnie z ceremoniałem. Muszę mieć Amerykanina nie wracając tam - a pierwszego człowieka, którego wybiorę spotka szczególny honor. Wiesz kto to jest?

Desperacko grałem na zwłokę.

- Och, jeśli tylko w tym trudność, znajdę ci tuzin pierwszorzędných Jankesów, gdy tylko dotrzemy do Mexico City! Wiem, gdzie są tłumy górników, zniknięcia których nikt nie zauważy przez całe dni... Lecz przerwał mi ponownie z miną autorytetu, w której był cień rzeczywistej godności.

- Zbyt długo już żartujemy. Wstań i stój wyprostowany jak mężczyzna. Ty jesteś wybranym przeze mnie obiektem i powinieneś na tamtym świecie dziękować mi za zaszczyt, jak poświęcona ofiara dziękuje kapłanowi za to, że przeniósł ją do wiecznej chwały. Nowa zasada - żaden inny żywy człowiek nie śnił nawet o takiej baterii i nikt nigdy by na to nie wpadł, choćby świat eksperymentował przez tysiąc lat. Wiesz, że atomy nie są tym, za co je uważamy? Głupcy! Za sto lat jakiś głupek może na to wpadnie, jeśli pozostawię świat przy życiu.

Gdy wstałem na jego polecenie, wyciągnął dodatkową stopę kabla z walizy i stanął wyprostowany obok mnie, druczany hełm wyciągnął oburącz w moją stronę, na jego opalonej i brodatej twarzy pojawił się wyraz prawdziwej egzaltacji. Przez chwilę podobny był do jaśniejszego helleńskiego hierofanta.

- Oto, Młodości - libacja! Wino kosmosu - nektar międzygwiazdnych przestrzeni - Linosie - Iacchusie - Ialemusie - Zagreusie - Dionizosie - Atisie - Hylasie - wyskoczcie z Apollina i zabijajcie przy pomocy psów Argosa - nasienie Psamathe - dziecko słońca - Evoe! Evoe!

Począł znowu śpiewać, tym razem jego umysł wydawał się być daleko w przeszłości, wśród klasycznych wspomnień z dni spędzonych na uczelni. Stojąc wyprostowany zauważyłem, że nad moją głową zwisa kabel sygnałowy i zastanowiłem się, czy mógłbym do niego sięgnąć gestem odpowiadającym jego ceremonialnemu nastrojowi. Warto było spróbować, więc z takim samym antyfonalnym okrzykiem "Evoe!" wyciągnąłem ramiona do przodu i w górę w rytualny sposób, mając nadzieję szarpnąć za kabel zanim zauważy, co się stało. Lecz to było na nic. Zobaczył mój zamiar i zrobił ruch ręką w kierunku prawej kieszeni płaszcza, gdzie znajdował się mój rewolwer. Słowa były zbędne, staliśmy przez chwilę jak wyrzeźbione posągi. Potem powiedział spokojnie: - Pospiesz się!

Znów jak szalony szukałem w mym umyśle dróg ucieczki. Wiedziałem, że drzwi w meksykańskich pociągach nie są zamykane, lecz mój towarzysz bez trudu mógł mnie zatrzymać, gdybym próbował je otworzyć i wyskoczyć. Prócz tego pociąg jechał zbyt szybko i nawet gdyby mi się to udało, cała sprawa zakończyłaby się prawdopodobnie fatalnie. Pozostało tylko grać na zwłokę. Po trzy i pół godzinnej podróży, przejechaliśmy już dobry kawałek, teraz dojeżdżaliśmy już do Mexico City i straż i policja na dworcu powinny natychmiast zapewnić bezpieczeństwo.

Pomyślałem, że powinny istnieć dwa sposoby dyplomatycznej zwłoki. Gdyby udało mi się odroczyć nałożenie mi hełmu, zyskałbym wystarczającą ilość czasu. Oczywiście nie sądziłem, aby to naprawdę było śmiertelne, ale znałem wystarczająco szaleńców, aby wiedzieć, co się może zdarzyć, gdy ich zamiary zawiodą. Do jego rozczarowania dołączy się obłąkane uczucie, że to ja jestem odpowiedzialny za niepowodzenie rzeczy, która zaprzętała jego uwagę i prowadziła go do mniej lub bardziej rozległych poszukiwań. Zastanawiałem się tylko, jak daleko sięgnie ta naiwność i czy będę mógł zawczasu przygotować przepowiednię niepowodzenia, które to niepowodzenie przypnie mi na zawsze łątkę proroka czy wtajemniczonego, czy też nawet boga. Miałem jakieś takie pojęcie o meksykańskiej mitologii, warto więc było spróbować, choć chciałem najpierw sprawdzić inne sposoby gry na zwłokę, tak aby przepowiednia była nagłą rewelacją. Czy oszczędzi mnie w końcu, gdyby udało mi się go przekonać, że jestem prorokiem czy istotą boską? Czy mogę "objawić się" jako Quetzalcoatl lub Huitzilopotchli? Wszystko, aby tylko przeciągnąć całą rzecz do piątej, kiedy to powinniśmy dotrzeć do Mexico City.

Moje początkowe "wejście" powinno podstępnie opanować wolę weterana. Gdy maniak powtarzał swe polecenie, abym się pośpieszył, opowiedziałem mu o mojej rodzinie, o moim zamierzonym małżeństwie i poprosiłem o

możliwość pozostawienia przesłania i rozporządzenia moim majątkiem. Jeśli, powiedziałem, da mi kawałek papieru i zgodzi się wysłać pocztą to, co napiszę, będę mógł umrzeć spokojniejszy i z własnej woli. Po chwili wahania wyraził na to zgodę i począł grzebać w walizie szukając notatnika i wręczył mi go z powagą, podczas gdy ja ponownie usiadłem. Przygotowałem ołówek, zręcznie ułamałem koniuszek grafitu i znów zyskałem chwilę zwłoki, podczas gdy on szukał swojego ołówka. Gdy dał mi go, sam wziął mój złamany i począł go ostrzyć dużym nożem z rogową rękojeścią, który trzymał za pasem pod płaszczem. Było jasne, że złamanie drugiego ołówka nie na wiele by mi się przydało.

Co tam napisałem, teraz z trudem sobie przypominam. Po większej części był to bełkot złożony z przypadkowo wybranych, zapamiętanych fragmentów literatury, gdy nie mogłem sobie przypomnieć już niczego więcej. Pisałem tak niewyraźnie jak tylko mogłem, nie niszcząc samej natury tego jako pisma, wiedziałem bowiem, że będzie chciał rzucić na to okiem, zanim przystąpi do eksperymentu i uświadamiałem sobie, jak by zareagował na widok oczywistych nonsensów. Próba była straszliwa i denerwowałem się z każdą sekundą, gdy pociąg zwalniał. W przeszłości często pogwizdywałem radosny galop w takt wesołego stukotu kół pociągu, lecz teraz wydawało się, że tempo zwolniło do szybkości marsza pogrzebowego - mojego marsza pogrzebowego, zreflektowałem się ponuro.

Mój fortel działał do chwili, gdy zapełniłem cztery kartki sześć na dziewięć, aż w końcu szaleniec wyciągnął zegarek i powiedział, że mam jeszcze pięć minut. Co powinienem teraz zrobić? Pospiesznie myślałem nad formami sformułowania mej ostatniej woli, gdy przyszła mi do głowy nowa myśl. Zakończywszy zawijasem i wręczywszy mu kompletną stronę, którą włożył bez ceregieli do lewej kieszeni płaszcza, przypomniałem mu o moich wpływowych przyjaciółach w Sacramento, którzy powinni być bardzo zainteresowani jego pomysłem.

- Mogę ci dać do nich list polecający? - powiedziałem. - Mogę zrobić szkic z opisem twego kata, aby cię przyjaźnie wysłuchali? Mogą uczynić cię sławnym, wiesz - a nie stanowi żadnego problemu, aby zastosować twoją metodę w całym stanie Kalifornia, jeśli usłyszą o tym od kogoś takiego jak ja, kogo znają i wierzą w cię.

Spróbowałem tego sposobu w nadziei, że myśli zawiedzionego wynalazcy pozwolą mi na chwilę zapomnieć o aztecko-religijnej stronie całej sprawy. Gdy znów zwróci się w tym kierunku, wyskoczę z "objawieniem" i "proroctwem". Ten schemat zadziałał, gdyż jego oczy zajaśniały gorliwą akceptacją, choć szorstko powiedział mi, abym się pospieszył. Nadal opróżniał walizę, wyciągając z niej dziwacznie wyglądającą płataninę szklanych pojemników i spiral, do których były przymocowane druty idące od hełmu, opatrując to komentarzem zbyt technicznym, abym mógł go zrozumieć, dla niego jednak najwidoczniej prostym. Udawałem, że notuję wszystko to co mówi, zastanawiając się, czy rzeczywiście ten dziwaczny aparat może być baterią. Czy doznam wstrząsu, gdy zastosuje to urządzenie? Mężczyzna mówił pewnie, jakby był autentycznym elektrykiem. Opis wynalazku był dla niego stosownym zadaniem i zobaczyłem, że przestał się niecierpliwić. Niosąca nadzieję szarość świtu zamigotała za oknem czerwienią zanim zakończył i poczułem w końcu, że moja szansa ucieczki poczyna się urzeczywistniać.

Jednak on także zobaczył świt i znów zaczął się denerwować. Wiedział, że pociąg powinien być w Mexico City o piątej i z pewnością podjąłby szybkie działanie, gdybym nie zapełnił jego umysłu nowymi pomysłami. Gdy wstał zdecydowanie, kładąc baterię na siedzenie obok otwartej walizy, przypomniałem mu, że nie zrobiłem jeszcze koniecznych szkiców i poprosiłem go, aby potrzymał hełm tak, bym mógł go narysować blisko baterii. Usiadł znowu, przypominając mi wiele razy, abym się pospieszył. Po chwili przerwałem, aby zasięgnąć informacji, w jakiej pozycji ofiara znajduje się w czasie egzekucji i w jaki sposób zostaje przewyższona jej prawdopodobna szamotanina.

- Cóż - odparł - przestępca jest mocno przywiązywany do pala. Nie ma znaczenia jak bardzo szarpie głową, gdyż hełm przylega ściśle, a jeszcze bardziej się ściga, gdy przepłynie prąd. Przekręcamy wyłącznik stopniowo - o tutaj, i starannie aranżujemy całe przedsięwzięcie potencjometrem.

Przyszedł mi do głowy nowy pomysł, gdy uprawne pola z coraz częstszymi domami w świetle świtu zapowiadały nasze zbliżanie się do stolicy.

- Muszę jednak - powiedziałem - narysować hełm na ludzkiej głowie, tak jak narysowałem go obok baterii. Czy nie mógłbyś go nałożyć na chwilę, tak abym mógł cię naszkicować wraz z tym? Gazety i przedstawiciele władz mogą chcieć tego wszystkiego, a bardzo lubią, aby wszystko było kompletne.

Gdyby się to udało, miałbym może lepszą szansę niż ucieczka, gdyż na moją uwagę oczy szaleńca znowu rozblęsnęły.

- Gazety? Tak - do cholery, możesz zrobić tak, aby to dostało się do gazet? Redaktorzy śmiali się ze mnie i nie chcieli wydrukować ani słowa. No, pospiesz się! Nie mamy ani sekundy do stracenia. Dalej, niech to diabli, wydrukują rysunki! Sprawdź twój szkic, czy nie zrobiłeś jakiegoś błędu - musi być dokładny za wszelką cenę. Później znajdzie cię policja - powiedzą jak to działa. Notatka w Associated Press - twój list - nieśmiertelna sława... Pospiesz się, mówię - pospiesz się do cholery!

Pociąg chwiał się na gorszych torach w pobliżu miasta i zataczaliśmy się nieskładnie raz po raz. Udało mi się złamać ponownie ołówek, lecz oczywiście szaleniec natychmiast wręczył mi mój własny, który wcześniej zaostrzyłem. Mój pierwszy zasób forteli był już bliski wyczerpania i czułem, że muszę za chwilę odwołać się do głównego pomysłu. Nadal byliśmy o dobry kwadrans od stacji i nadszedł czas, aby skierować myśli mego towarzysza w stronę religii i spreparować boską przepowiednię.

Przypomniawszy sobie wszystko, co wiedziałem o mitologii Azteków, rzuciłem nagle ołówek i papier i zacząłem śpiewać.

- Ia! Ia! Tloquenahuaque, Ty, Którego Istota Jest w Tobie! Ty także, Ipalnemoanie, Przez Którego Żyjemy! Słyszę, słyszę! Widzę, widzę! Orle niosący Węża! Przesłanie! Przesłanie! Huitzilopotchli, twój grzmot rozlega się echem w mej duszy!

Na mój zaśpiew szaleniec popatrzył z niedowierzaniem przez swą dziwną maskę, na jego przystojnej twarzy ukazał się wyraz zaskoczenia i zdumienia, który szybko zmienił się w zaniepokojenie. Wydawało się, że jego umysł opustoszał na chwilę, a potem przekształcił w inny wzór. Podniósłszy ręce w górę, zaczął śpiewać jakby we śnie.

- Mictlanteuctli, Wielki Panie, znak! Znak z twej czarnej jaskini! Ia! Tonatiuh-Metztl! Cthulhu! Rozkazuj, a ja będę służył!

W całym tym bełkocie było jedno słowo, które poruszyło jakąś dziwną strunę w mej pamięci. Dziwną, gdyż nigdy nie występowało w żadnym opracowaniu meksykańskiej mitologii, jednak słyszałem je niejednokrotnie w przejętych grozą szeptach peonów w mojej macierzystej kopalni w Tlaxcali. Wydawało się być częścią jakiejś wielkiej tajemnicy i prastarego rytuału, gdyż następowały po nim charakterystyczne, wypowiedane szeptem odpowiedzi, które słyszałem raz po raz, a które nie było znane nawet nauce akademickiej. Ten szaleniec musiał spędzić dużo czasu z peonami ze wzgórz i z Indianami, tak jak to zresztą powiedział, gdyż z całą pewnością ta nieznanota wiedza nie pochodziła z samej nauki zawartej w książkach. Stwierdziwszy, że należy uwiarygodnić swój ezoteryczny bełkot, zdecydowałem się uderzyć w jego najczulszy punkt i dałem odpowiedź, jakiej używali tubylcy.

- Ya-R'l'yeh! Ya-R'l'yeh! - krzyknąłem. - Cthulhu fhtaghn! Nigurat-Yig! Yog-Sothoth...

Ale nie miałem okazji dokończyć. Wprawiony w religijny szal prawidłową odpowiedzią, której jego na wpół świadomy mózg prawdopodobnie nie oczekiwał, szaleniec rzucił się na kolana, raz po raz skłaniając swą głowę w drucianym hełmie i kręcąc nią w lewo i w prawo. Za każdym razem jego pokłony stawały się coraz głębsze i usłyszałem, że jego pokryte pianą wargi powtarzają "zabij, zabij, zabij" w szybko nabrzmiewającej monotonii. Przyszło mi na myśl, że przesadziłem i moja odpowiedź wyzwoiliła narastającą manię, która może go doprowadzić do punktu w którym mnie zabije, zanim dotrzemy do stacji.

Gdy łuk pokłonów szaleńca stawał się stopniowo coraz większy, odległość kabla z jego hełmu od baterii stawała się coraz mniejsza. Teraz, w swym delirium zaczął powiększać zakres obrotów głową, aby zatoczyć pełny okrąg, tak że kabel owinał mu szyję i zaczął szarpać za jego zamocowania do baterii leżącej na siedzeniu. Zastanawiałem się co zrobi, gdy wydarzy się rzecz nieuchronna i bateria zostanie ściągnięta na podłogę i prawdopodobnie zniszczona.

Wtem nastąpił nagły kataklizm. Bateria, szarpnięta z brzegu siedzenia przez ostatni gest maniaka w jego orgiastycznym szaleństwie, istotnie spadła, ale nie stłukła się całkowicie. Zamiast tego, jak to zanotowały moje oczy w ułamku sekundy, uderzenie przesunęło potencjometr, tak że przełącznik skoczył natychmiast w swe krańcowe położenie, przepuszczając pełny prąd. Zadziwiające, że tam był prąd. Wynalazek nie był tylko snem szaleńca. Zobaczyłem olśniewającą, niebieską zorzę, usłyszałem wycie, bardziej przerażające niż wszystkie krzyki, jakie słyszałem w czasie tej szalonej, straszliwej podróży i poczułem przyprawiający o mdłości smród palonego ciała. To było wszystko, co mogła znieść moja świadomość. Zemdlałem.

Gdy straż kolejowa w Mexico City ocuciła mnie, zobaczyłem na peronie tłum wokół drzwi do mego przedziału. Na mój mimowolny krzyk tłoczące się twarze stały się zaciekawione i wątpiace i byłem zadowolony, gdy strażnik usunął wszystkich z wątkiem lekarza, który przeciskał się do mnie. Mój krzyk był całkiem naturalną rzeczą, lecz wydałem go pod wpływem czegoś więcej, niż szokującego widoku na podłodze przedziału, który spodziewałem się zobaczyć. Należało by raczej powiedzieć - pod wpływem braku, gdyż, prawdę mówiąc, na podłodze niczego nie było.

Nie było też, jak powiedział strażnik, w chwili gdy otworzył drzwi przedziału. Mój bilet był jedyną zapłatą za ten przedział i byłem jedyną osobą, którą w nim znaleziono. Tylko mnie i moją walizę, nic więcej. Jechałem sam, przez całą drogę od Queretaro. Strażnik, doktor i gapie pukali się znacząco w czoła w odpowiedzi na me chaotyczne pytania.

Czy to wszystko było snem, czy też rzeczywiście oszalałem? Przypomniałem sobie mój niepokój, napięte nerwy i wzdrygnąłem się. Podziękowawszy straży i doktorowi i uwolniwszy się od tłumu, wtoczyłem się do taksówki, którą pojechałem do Fonda Nacional, gdzie, po zatelegrafowaniu do Jacksona w kopalni, spałem aż do popołudnia w nadziei pozbierania się. Obudziłem się o trzynastej, w samą porę, aby złapać kolejkę wąskotorową do okolic kopalni, lecz gdy wstałem, znalazłem pod drzwiami telegram. Był od Jacksona i donosił, że znaleziono Feldona martwego w górach tego ranka; wieść o tym dotarła do kopalni około dziesiątej. Wszystkie papiery są bezpieczne, a biuro w San Francisco zostało natychmiast powiadomione. Tak więc cała ta podróż, z jej nerwowym pośpiechem i raniącymi doświadczeniami nie zdała się na nic.

Wiedząc, że McComb będzie oczekiwał osobistego raportu niezależnie od przebiegu wypadków, wysłałem następny

telegram i mimo wszystko złapałem wąskotorówkę. Cztery godziny później turkotałem i podskakiwałem do stacji przy kopalni nr 3, gdzie czekał już Jackson, aby mnie kordialnie powitać. Był tak przejęty tym, co się dzieje w kopalni, że nie zauważył, iż nadal się trzęsę. Nie zauważył też mego cierpiącego wyrazu twarzy.

Opowiadanie superintendenta było krótkie i przekazał mi je, gdy szliśmy w stronę chaty na zboczu wzgórza nad jaskinią, w której leżało ciało Feldona. Powiedział, że Feldon zawsze był dziwaczną, posępną osobą. Od czasu, gdy go przyjęto rok temu, pracował nad jakimiś tajemniczymi urządzeniami mechanicznymi, uskarżał się na to, że go nieustannie szpiegują i bratał się wyraźnie z tubylczymi robotnikami. Z całą pewnością jednak był fachowcem, znał okolice i ludzi. Miał zwyczaj robienia długich wycieczek na wzgórze, gdzie żyli peoni i nawet brał udział w niektórych ich prastarych, pogańskich ceremoniach. Napomykał o dziwnych sekretach i obcych siłach tak samo często, jak często chwalił się swą zręcznością w zagadnieniach mechaniki. Ostatnio rozłożył się zupełnie, stał się chorobliwie podejrzliwy w stosunku do kolegów i niewątpliwie skłonił swych tubylczych przyjaciół do kradzieży rudy w chwili, gdy zaczęło mu brakować gotówki. Potrzebował niewiarygodnych ilości pieniędzy to na to, to na tamto - przychodzili do niego skrzynie z laboratoriów i sklepów sprzedających maszyny w Mexico City lub w Stanach.

Jeśli chodzi o ostatnie zniknięcie z papierami - uczynił tylko szalony ruch oznaczający odwet za to, co nazywał "szpiegowaniem". Z pewnością był szalony, gdyż podążył przez całą krainę do ukrytej jaskini na dzikim zboczu nawiedzanej Sierra de Malinche, gdzie nie ma żadnego białego człowieka i czynił tam jakieś niezwykle potworne rzeczy. Jaskinia, której nigdy wcześniej nie znaleziono przed końcową tragedią, była pełna przerażających, prastarych azteckich idoli i ołtarzy; te ostatnie pokryte były zwęglonymi kośćmi niedawno spalonych ofiar wątpliwej natury. Tubylcy nie powiedzieli nic - a nawet przysięgali, że o niczym nie wiedzą - lecz łatwo było spostrzec, że jaskinia jest ich miejscem spotkań od bardzo dawna i że Feldon brał udział w ich obrzędach w całej pełni.

Poszukiwacze znaleźli to miejsce tylko dzięki zaśpiewom i końcowemu okrzykowi. Było to tuż po piątej tego ranka i po całonocnym obozowaniu grupa zbierała się, aby powrócić do kopalni. Nagle ktoś usłyszał delikatny rytm w pewnej odległości i rozpoznał natychmiast jeden z tych potwornych, starych, tubylczych rytuałów, odprawianych w jakimś odosobnionym miejscu, na zboczu góry mającej kształt trupa. Słyszano te same stare imiona: Mictlanteuctli, Tonatiuh-Metztlil, Cthulhu, Ya-R'lyeh i całą resztę - lecz potworną rzeczą było to, że zmieszane z nimi były angielskie słowa. Naprawdę był to angielski białego człowieka a nie złodziejski żargon. Prowadzeni tymi dźwiękami, pospieszyli porośniętym zielskim zboczem w ich kierunku, gdy nagle po chwili ciszy usłyszeli wrzask. Był tak straszliwy, że żaden z nich nigdy nie słyszał w życiu nic straszniejszego. Poczuli także dym i jakiś gryzący zapach.

Potem natknęli się na jaskinię, której wejścia chronił gąszcz krzewów mesquite. Buchały stamtąd kłęby śmierdzącego dymu. Gdy oświetlili wnętrze, ujrzeli znajdujący się tam potworny ołtarz i jakieś groteskowe wyobrażenia, migoczące w świetle świec, które musiały być zmienione nie dalej niż pół godziny temu, a na wysypanej żwirem podłodze leżało coś tak potwornego, że wszyscy cofnęli się. To był Feldon z głową spaloną na frytkę przez jakieś dziwne urządzenie, które miał na nią nałożone - był to pewien rodzaj drucianej klatki połączonej z roztrzaskaną baterią, która najwidoczniej spadła na podłogę z pobliskiego ołtarza. Gdy ludzie to zobaczyli, wymienili między sobą spojrzenia, myśląc o "elektrycznym kacie". Feldon zawsze chwalił się pomysłem rzeźby, którą wszyscy odrzucali lecz próbowali mu ją ukraść i skopiować. Papiery spoczywały bezpiecznie w stojącej obok niego torbie i w godzinę później kolumna poszukiwaczy wyruszyła w drogę powrotną do kopalni nr 3 z przerażającym ciężarem na zaimprovizowanych noszach.

To było wszystko, lecz wystarczyło, abym pobladł i zachwiał się, gdy Jackson prowadził mnie do chaty, w której leżało ciało. Posiadałem bowiem wyobraźnię i czułem, że w jakiś nadnaturalny sposób tragedia zamienia się w koszmar. Wiedziałem co zobaczę w chacie, za tymi otworzonymi drzwiami, wokół których zgromadzili się zaciekawieni górnicy i nie drgnąłem, gdy moje oczy spoczęły na olbrzymiej postaci, prostym, sztruksowym ubraniu, dziwnie delikatnych dłoniach, kłaczkach spalonej brody i na tej samej piekielnej maszynie - lekko uszkodzonej baterii i hełmie, poczerniałym od spalania tego, co było w środku. Wielka, otwarta waliza nie zaskoczyła mnie - lękałem się tylko jednej rzeczy: złożonych kartek wystających z lewej kieszeni. W chwili, gdy nikt nie patrzył, wyciągnąłem rękę i zabrałem te dobrze znajome papiery i zmiąłem je w rękę nie odważywszy się spojrzeć na zapis. Powinienem żałować, że jakiś rodzaj panicznego strachu sprawił, że spaliłem je tej samej nocy, nawet nie patrząc na nie. Mogły być dowodem na coś lub przeciwko czemuś - lecz jeśli o to chodzi, to miałbym dowód, gdybym zapytał koronera o rewolwer, wyciągnięty z prawej kieszeni płaszcza. Nigdy jednak nie miałem odwagi pytać o to - gdyż mój własny rewolwer zginął po tej nocy w pociągu. Mój ołówek także nosił ślady prymitywnego i pośpiesznego ostrzeżenia, niepodobnego do starannego zaostrenia, jakie mu nadałem w piątek po południu, w prywatnym wagonie prezesa McComba.

W końcu zaintrygowany począłem zbierać się do powrotu. Prywatny wagon został już naprawiony, gdy wróciłem do Queretaro, lecz największej ulgi doznałem po przekroczeniu Rio Grande w El Paso i po wjeździe do Stanów. W następny piątek byłem w San Francisco, a w następnym tygodniu odbył się odroczonego ślub.

Co naprawdę zdarzyło się tej nocy? Jak powiedziałem, nie ośmielałem się nawet domyślać. Ten facet, Feldon, był szalony rozpoczynając to i u szczytu swego szaleństwa przyswoił sobie pewną część prehistorycznej azteckiej wiedzy czarnoksiężskiej, której nikt nie miał prawa znać. Był naprawdę wynalazczym geniuszem, a ta bateria musiała być autentyczną rewelacją. Słyszałem później, jak był postpowonowany przez prasę, opinię publiczną i możliwych tego świata. Zbyt wiele rozczarowań nie jest dobre dla człowieka jego rodzaju. W jakiś sposób zadziałało pewne piekielne połączenie wpływów. Nawiasem mówiąc, rzeczywiście mógł być żołnierzem Maksymiliana.

Gdy opowiadam tę historię, większość ludzi uważa mnie za kłamcę. Inni kładą to na karb nienormalnej psychologii - niebiosy tylko wiedzą, jak byłem zdenerwowany - zaś jeszcze inni mówią o pewnego rodzaju "projekcji astralnej". Moja gorliwość w pochwyleniu Feldona z pewnością wysłała me myśli ku niemu, a z całą tą indiańską magią, zdolny był do ich rozpoznania i wyjścia im na przeciw. Czy był w przedziale wagonu, czy w jaskini góry o kształcie trupa? Czy to, co przydarzyło się mnie, przydarzyło się w istocie jemu? Muszę wyznać, że nie wiem i nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć. Od tego czasu nigdy nie byłem w Meksyku i, jak powiedziałem na początku, nie chcę słyszeć o elektrycznym kacie.

Autor: Howard Philips Lovecraft & Adolphe de Castro

[**Początek**]